Moja droga ku życiu - ku drugiemu życiu, rozpoczęła się dokładnie 12 stycznia 2010 r., gdy po kolonoskopii lekarz rozpoznał toczący się proces nowotworowy. Tę diagnozę poprzedzały od kilku miesięcy sny o walącym się domu, który wymaga gruntownego remontu, zapowiedź drogi przez zimowy las boso... Nie wiedziałam, jak te sny zrozumieć, chociaż czułam, że były ważne, skoro się tak regularnie pojawiały. No i wyjaśniło się.

Symptomy choroby pojawiły się, o ironio,w dzień moich urodzin, ale nie traktowałam ich poważnie - raczej jako zapalenie jelita grubego, które można wyleczyć dietą (co po części dawało dobre skutki), ale nie usunęło symptomów do końca. Czas poprzedzający diagnozę był dla mnie bardzo trudny - najdotkliwszym zdarzeniem było zrujnowanie ścian wskutek nieumiejętnie przeprowadzonego remontu w mieszkaniu piętro niżej. Sny o zrujnowanym domu - przenośnie moim ciele - i istotnie zrujnowany dom w rzeczywistości.

Uważałam też, że gdyby zdiagnozowano u mnie raka, nie poddałabym się żadnej terapii, tylko spieniężyłabym wszystko, co mam i pojechałabym na Polinezję. No cóż, tak można myśleć tylko w teorii. Gdy jest diagnoza, optyka zmienia się diametralnie - po prostu bardzo chce się żyć, a instynkt jest przemożny.

Z 12 na 13 stycznia miałam sen o zadymce w środku jesiennego ciepłego i leniwego dnia. Szalejące płatki śniegu wdzierały się do pokoju, ale zdecydowanym ruchem zamknęłam okno i „opanowałam" sytuację. Odebrałam to jako dobry znak - że wyjdę z tej choroby. A 13 miałam umówioną wizytę u onkologa - też miałam więcej szczęścia niż rozumu, bo było to jedno jedyne miejsce zwolnione przez kogoś. W ogóle, przez cały czas tej choroby czułam się prowadzona, jakkolwiek bardzo trudną drogą. Wspaniała Istota - Bóg, synchronizowała czas, zdarzenia, dobrą ludzką wolę.

Wizyta u dra onkologa w szpitalu - to kolejny popis mojego instynktu życia. Wpadłam w gabinet i nie było siły, żebym wyszła, jeśli mi doktor uprzednio nie pomoże. Pocieszył, że choroba jest w pełni uleczalna i nie mam ulegać panice. Pokierował mnie na badania i tak rozpoczął się niełatwy i bolesny proces leczenia.

Sama choroba to jedno, a drugie to praca nad własną psychiką i osobowością. Zastanawiałam się, co takiego spartaczyłam w życiu, że wyhodowałam sobie raka, tym bardziej, że przez 2.5 roku byłam pod opieką dr dietetyka i na diecie antygrzybiczej/antyrakowej. Nadto robiłam

rektoskopię, badanie na krew utajoną w kale i nic nie wyszło. Potem dałam sobie spokój z roztrząsaniem, co źle zrobiłam, bo uświadomiłam sobie, że znowu stawiam się w pozycji Boga - ja planuję, ja robię, ja, ja.

W listopadzie podczas adoracji Przenajświętszego Sakramentu w Św. Rodzinie ni stąd ni zowąd „usłyszałam” **Wyzdrowiejesz**. Nawet nie modliłam się w tym momencie o zdrowie, ani nie wiedziałam, że mam raka. Tak sobie po prostu trwałam przed Panem Jezusem. Miałam obawy, że to moje pobożne życzenie, albo mi się coś zdało, ale teraz z perspektywy czasu i ciemności wiary dochodzę do wniosku, że nic mi się nie wydawało.

Dużą trudność sprawiały mi rozmowy z ludźmi, tzw. zdrowymi. Oni mieli gotowe recepty i wiedzieli, że trzeba wytrzymać (powiedz jak, mądralo, gdy środki przeciwbólowe nie działają), że chemia niszczy i dewastuje organizm itd. Nie obchodziły mnie te opinie domorosłych onkologów, ucinałam te rozmowy nieraz brutalnie i złośliwie, żeby coś do nich dotarło i żeby przestali mnie straszyć. Ludziom się wydaje, że muszą cały czas coś mówić, najlepiej na temat twojej choroby, rokowań itd. Ponadto mają tendencję do traktowania cię jak niespełna rozumu, jakbyś z odbytnicy miał przerzuty do mózgu. A przecież chory też swoje ciało czuje i wie, kiedy ma wstać z krzesła, pozmywać naczynia lub poprosić o pomoc w pracach domowych, bo nie daje rady. Bardzo jest ważne, żeby zdrowi pozwolili chorym zachować autonomię i możliwość samostanowienia w chorobie, dali szansę na podejmowanie decyzji. Musiałam kilkakrotnie dość ostro reagować w obronie własnej wolności, bo z dobrego serca chcieli mnie zagłaskać i robili bardziej chorą niż byłam. Niemniej jednak, popełniłabym niewybaczalną niesprawiedliwość, gdybym kierowała wobec ludzi tylko zarzuty. Tych w gruncie rzeczy było niewiele. Zaznałam ogromnie dużo autentycznego, niefałszowanego dobra i wsparcia. Ludzie poświęcali mi swój czas, pieniądze, serce. Moi współpracownicy opłacili mi dojazdy na chemię i radioterapię - na które w swojej naiwności chciałam jeździć sama własnym samochodem - a co po dwóch tygodniach terapii okazało się mrzonką. Jazda w charakterze pasażera była trudna, bo każdy wybój i nierówność na drodze dotkliwie odczuwałam. Dodajmy jeszcze biegunki i wymioty oraz osłabienie - to mamy jako taki obraz skutków leczenia. Zatem ich decyzja o sfinansowaniu wzruszyła mnie do łez, jakkolwiek banalnie to brzmi.

Podczas choroby często śniłam, że mój animus jest całkowicie bezwolny, albo znowu, dosłownie, mnie „olewa” nasikując mi na głowę. W kontekście tych snów widzę, że byłam ostatnimi laty bardzo bierna, jakkolwiek patrząc z zewnątrz, nikt nie miałby takiego wrażenia. Czułam się wypalona, znużona, czułam, że już nic ciekawego w moim życiu się nie wydarzy, walczyłam tylko z upiornym grzybem, nie mając ochoty na kontakty towarzyskie, bo drakońska dieta czyniła je po prostu nieznośnymi. Nieraz w przypływie złości i pretensji na całe życie, trudne dzieciństwo, niewydarzone relacje i właśnie owo poczucie niespełnienia i jałowego biegu oraz rutyny pracy mówiłam Panu Bogu ze złością, że nie chcę takiego życia, jeśli ono ma tak wyglądać, to może je sobie zabrać. Nie wiedziałam wtedy, jak bliskie było spełnienie mojej

prośby. Kiedy już się o tym dowiedziałam, pożałowałam swego niewyparzonego języka i nagle zobaczyłam te wszystkie piękne barwy i smaki życia, które przedtem ledwo miałam ochotę dostrzec. Dopiero stojąc na grobem (cóż, słysząc diagnozę „rak”, trzeba to też wziąć pod uwagę) zobaczyłam, co mogę realnie stracić i że życie to życie, nawet jeśli czasem wygląda jak niebo przed burzą, to burza przejdzie, a słońce i tak świeci i wzbudza barwy. Ta choroba to walka o mnie samą. 19 stycznia na modlitwie „Bądź dobrej myśli”. Wierzę, że Pan Bóg „liczbę moich dni uczyni pełną i oddali ode mnie wszelką chorobę. On leczy wszystkie moje niemoce. On mój Pan i Lekarz”. Zamiast „martwię się rakiem” - „koncentruję się na zdrowiu”. Poprosiłam również Pana Boga, żeby teraz to drugie życie sam planował; skoro moje planowanie zawiodło mnie na manowce... - roztrzaskałam swoją nawę.

25/26 stycznia śniła mi się burza w górach. Byłam na jakichś rekolekcjach, które z powodu poprawności politycznej musiały zostać odwołane, ponieważ obrażały uczucia religijne(!) osób niewierzących. Czułam się szalenie rozczarowana, bo liczyłam na te rekolekcje i wspólnotę (nie była to moja wspólnota wrocławska). No i rzeczona burza. Siedzieliśmy pod tarasem mając doskonały widok na burzę i góry. Byłam bardzo spokojna i bezpieczna. Był tam nieznany mi dominikanin opiekujący się naszymi rekolekcjami i inni uczestnicy. Burza była zjawiskowa, niebieskie niebo - czy to zapowiedź burzy - choroby nad moją głową, którą przeczekuję w bezpiecznym miejscu?

I coś, co przeczytałam u Derka Prince'a: o świętym, czyli człowieku nawróconym, który oddał swe życie Chrystusowi:
- Święty czerpie wszystko od Boga, nie ma żadnego polegania na sobie, ufności w ciele. Jego życie polega na Bogu, całkowicie ufa łasce i mocy Bożej (jaki to komfort dla człowieka).
- Świętość odnosi wszystko do Boga „Panie, czy to Twoja wola?”
- Święty widzi Boga we wszystkim, bez względu na pozory, czy próby. „Może tego nie rozumiem, ale Bóg w tym jest. On jest moim Ojcem, On wyprowadzi z tego dobro.”.
- Bezbożnością jest biadanie nad swoim losem.

Cóż, to ostatnie często mi się przytrafiało. Znamienne, że podczas choroby doznawałam ogromnego spokoju i braku narzekania na swój los, co wcale nie jest cechą mojego charakteru. Taką postawę i pokój zawdzięczam modlitwie tej ogromnej rzeszy ludzkiej, która za mnie zanosiła i nadal zanosi modlitwy w intencji mojego uzdrowienia.

Nadal intensywne sny - o zamrożonych emocjach, które w każdej chwili mogą odtajać i zagrozić życiu, zimowy las, przez który trzeba przejść boso; te sny nakłoniły mnie również do pracy nad wybaczaniem. Nie była to moja pierwsza próba, ale i tak lista osób „do wybaczenia” okazała się pokaźna.

I jeszcze jedna sprawa, która nieuchronnie wyłania się ze snów i doświadczeń choroby - radość życia. W jednym ze snów okazało się, że karałam siebie za radość życia, nie dawałam sobie do niej prawa, ba, nawet na dobrą sprawę nie wiem na czym ma polegać, bo przecież nie na gromadzeniu przedmiotów i wrażeń...

10 lutego - już w szpitalu - konkretnie w szpitalnej kaplicy: Ks. Tobiasza 4,19-21, **W każdej sytuacji uwielbiaj Boga i proś Go, aby twoje drogi były proste i aby doszły do skutku...**

Boję się raka, umierania na tę chorobę, terapii, ograniczenia życia. Wielki Post zaczął się. Rak, przeziębienia, grzyb, kredyty i brak pieniędzy, brak perspektyw na wakacyjny wyjazd - Boże pomóż mi. I pomógł, jak się okazało nieco później.

19 lutego. Pan Bóg nie znosi życia „na diecie" (jak moje). To ograniczanie życia, a żyć trzeba pełną piersią, nie jak w gorsecie. Może ten rak jest mi dany po to, żeby rozwalić tę moją ograniczającą skorupę „jestem odpowiedzialna za wszystko w moim życiu" i stąd ta dieta antygrzybicza, tak mnie krępująca. Rozerwać kajdany, połamać wszelkie jarzmo. Nauczyć się spoczywania w Bogu każdą komórką ciała. Hm, to wcale nie jest proste ani łatwe, bo człowiek tak bardzo jest przywiązany do własnych wyobrażeń na temat życia. W tym czasie raka zastanawiałam się nieraz, jak wypuścić chorobę z psychiki, przestać się jej trzymać, i jakie są Boże marzenia. Właściwie nadal się nad tym zastanawiam i dochodzę do wniosku, że odpowiedź leży raczej w gestii Pana Boga niż człowieka. Nadal też pracuję nad wybaczaniem i nad poczuciem krzywdy w stosunku do niektórych osób. Czasami jest to zwyczajna zazdrość, że lepiej im się życie układa niż mnie, gdyż rak przez pewien czas jawił mi się jako kara za grzechy, klęska życiowa, nieudacznictwo, porównywałam się z innymi i porównania wypadały na moją niekorzyść itd. Zauważyłam też, że chociaż poczucie krzywdy bardzo mnie zatruwało, to jednak niezbyt chętnie chciałam się go pozbyć. Po prostu postawa ofiary bardzo mi odpowiadała, bo zwalniała z jakiejkolwiek odpowiedzialności i działania w sferze oczyszczania psychiki (tego nie załatwi żadna chemia ani radioterapia, tę pracę trzeba bardzo świadomie wykonać samodzielnie, a nie jest ona łatwa).

Dzisiaj, 22 lutego, szefowa powiedziała mi o rozdysponowaniu moich grup uczelnianych. Poczułam się jakby posprzątano po nieboszczyku, chociaż racjonalnie na to patrząc nie powinnam żywić takich odczuć, ponieważ ktoś te grupy musiał nadal uczyć i wszystko odbyło się jak najuczciwiej. Ale z uczuciami nie da rady dyskutować.

Czasami się trzeba znaleźć w specyficznej sytuacji, aby dotarła do nas prawda objawiona, „że Ja Pan, twój lekarz.”

23 lutego. Dotarło do mnie, że Bóg jest moim Ojcem i że powinnam się tym cieszyć i tym żyć. Cóż, wcześniejsze doświadczenia w relacjach skutecznie mnie przed tymi reakcjami zamykały, ale już samo uświadomienie sobie tego faktu było pierwszym krokiem na właściwej drodze do zaufania i zawierzenia. Dał mi też odczuć tę swoją ojcowską opiekę, bo „załatwiał” w taki niesamowity sposób moje sprawy, że mnie aż zatykało ze zdumienia. Ot, chociażby wzruszająca decyzja moich współpracowników o sfinansowaniu mojego dojazdu na chemię i radioterapię. Nadto zajęłam się przygotowaniem egzaminu dla jednej z moich byłych grup, co też mnie podniosło na duchu, bo nie gapiłam się w sufit i nie umierałam, tylko miałam zajęcie, chociaż trudno mi było wysiedzieć, bo ogon bolał...

28 lutego, Panie Boże jestem bardzo obciążona. Czy możesz mi pomóc? Dochodzę do kresu sił fizycznych i psychicznych. Jeśli Ty mi odmówisz pomocy, nie pomoże mi nikt. **Umrę bez Ciebie.** Daj mi wytrwać.

1 marca. Panie Boże, dlaczego obok miłości musi być cierpienie. Mówisz, że mnie kochasz, a dopuszczasz takie bóle. Dlaczego tak musi być? W odpowiedzi usłyszałam, „bo to jest oczyszczanie. Ufaj tylko, nie poddawaj się.” Ps.31(30) **Bądźcie mocni i mężnego serca**, wszyscy, którzy pokładacie ufność w Panu!”.

7 marca. Gdy boli odbyt, mózg schodzi do bólu. Modlitwa się nie udaje, bo myśli latają jak myszy po klatce. „Oczy moje są zwrócone ku Panu. Pan uwalnia nogi moje z sidła.”

Wybaczyć ludziom nachalne pytania o objawy choroby. Oni to robią ze strachu o siebie. Dzisiaj to rozumiem i nawet mnie to nie irytuje, ale wówczas...

Jak wielka jest moc modlitwy. To dzięki modlitwie tej ogromnej rzeszy ludzi zachowałam spokój przez cały czas trwania choroby i nie awanturowałam się z Panem Bogiem, tak jak mi się to wcześniej zdarzało.

„Z każdą chwilą jestem bliżej zdrowia”.
„Przecież to minie” (Iza).
„To jest zadanie do wykonania” (Ula).
„Już nic gorszego ci nie napiszą niż wiesz” (Grażynka, to na temat badania histopatologicznego).

11 marca. Dzisiaj śniło mi się, że wreszcie dostałam kluczyki do swojego samochodu od postaci, która zawsze uzurpowała sobie prawo do jego prowadzenia. Samochód to u Junga życie. Zatem wreszcie ja mogę pokierować własnym życiem, a nie ta postać (to wcale nie był Bóg). Ponieważ samochód stał w lesie nad dość szeroko rozlaną acz płytką rzeczką, poszłam po pomoc do pobliskiej wsi w jego przeciągnięciu. Rolnicy tam obecni odmówili, tłumacząc, że nie mają własnego traktora, tylko wynajmują go w sezonie, a jeszcze nie sezon. Zinterpretowałam ten sen jako zapowiedź własnego życia, uzdrowienia, niejako „uruchomienia”, ale we właściwej porze, która jeszcze nie nadeszła. Jednak: wreszcie mam kluczyki do własnego życia!

15 marca. Sen o wspinaniu się na stromą, pionową ścianę z ziemi po czerwonych szmatkach (też zabezpieczenie!). Idę z plecakiem, ale wchodzę, bardzo zmęczona, ale udało się. Interpretuję to jednoznacznie.

Pokładam ufność w Panu, weselę się i cieszę Twoim miłosierdziem, bo wejrzałeś na mą nędzę.

16 marca. Złość za spaprane życie, za źle wykorzystany potencjał. Boże, pomóż mi wybaczyć sobie i innym, pomóż mi pogodzić się z przeszłością, a nie awanturować się z nią. Przeszłość „pogodzona” to przeszłość, która nie mąci w teraźniejszości, w przeciwnym razie żyje własnym życiem poza kontrolą swojego właściciela.

17 marca. Cuda przy raku? Ogromny pokój, nawet nie muszę zażywać środków nasennych. Zniknął kompleks chudości. Gwiżdżę na to, co o mnie myślą, czy mówią. A wyglądam jak ludzik z kasztanów - kończyny jak patyczki. Zadanie podyktowane przez raka - wyzbyć się egocentryzmu!
Always look at the bright side of life.

19 marca. Lekarz radiolog kazał mi przytyć (jak to zrobić przy biegunkach), jeść intuicyjnie (bo i

tak każdy organizm reaguje indywidualnie) oraz zalecił nutridrinki, za które wynalazcę skazałabym na 30 dni galer tylko o nutridrinkach. Można na długo znienawidzić smak bananowo-czekoladowo-waniliowy. Jakby nie można było dać smaku żurku, boczku lub śledzia.

21 marca. Pierwszy dzień wiosny. Artysta Zen „Co 10 lat opróżniam torbę ze swoich dzieł." Ja, teraz przy raku, też dochodzę do wniosku, że muszę opróżnić swoje mieszkanie z wielu niepotrzebnych przedmiotów, książek, których nieprzydatności nie zauważałam, a one są jak polipy na mieczu łodzi - utrudniają żeglugę. Pozbyć się tego balastu materialnego i psychicznego.

Natura jest wolna od zachłanności i przywiązania. Postrzegać ludzi i obiekty takimi jakimi są i takimi ich kochać (a przynajmniej lubić i akceptować).

Śnił mi się mój kuzyn Czesiu, który powiedział mi, „Tak, słyszałem, co masz, wyjdziesz z tego. To taki czas próby."

11 kwietnia. Prosiłam Pana Boga o charyzmatycznego kapłana i słowo i dostałam oba. Po spowiedzi: W modlitwie liczy się trwanie, a nie moje wyobrażenie na temat doskonałej modlitwy. Boję się śmierci poprzez dogorywanie na raka, a ludzie gadają tak lekko takie głupstwa i jeszcze się dziwią, gdy tracę cierpliwość.

Panie Boże, pomóż mi opanować złość i zniecierpliwienie na nadtroskliwość, pouczenia, co mam robić i dobre rady w stylu musisz być cierpliwa , tak jakbym tego nie wiedziała.

26 kwietnia. Dzisiaj w Św. Rodzinie podczas Mszy Św. - nie wiem czy to moja imaginacja, czy co, ale miałam taki obraz - do prawej nogi nad kostką uwiązaną zieloną linkę, którą ktoś siedzący w dole (grobie?) mocno ciągnął, usiłując wciągnąć mnie do dziury. Broniłam się ze wszystkich sił, ale sama byłam bez szans. Wczepiłam się w Pana Jezusa, objęłam Go oburącz w pasie, a On w pewnym momencie, jednym błyskiem światła przerwał linkę i uwolnił moją nogę z jej pozostałości na kostce.

Msza Św. w czwartek u Ojca Smolki - uwolnienie od pychy (liczy się tylko to, co ja sama myślę i

wykonuję), zdrowie fizyczne, uwolnienie od lęku przed śmiercią na raka, dopasowywania świata do siebie, złości na wszystko i wszystkich, łakomstwa na słodycze i dobre rzeczy.

„Jeszcze wszystko będzie dobrze.” Daruj mi, Panie Boże, pełnię dni moich, jak Abrahamowi. Nie mam Izaaka, aby Ci go oddać, ale mam siebie. Jestem Izaakiem, Tyś mój Lekarz, Pan. Liczbę dni twoich uczynię pełną. Ty to powiedziałeś, ufam Ci.

30 kwietnia 2010. Życie jest okazją, nie trzeba czekać na „okazję” do uroczystego stroju czy posiłku. Samo życie to wystarczająca okazja do celebracji. O paradoksie! W chorobie uczę się radości i celebrowania życia. Czy to nie dziwne?

1 maja. „Beze mnie nic uczynić nie możecie” - dzisiaj podczas Mszy Św. Szczególnie to widoczne w kontekście leczenia grzyba i wyhodowania raka. Panie Boże, pomóż mi tropić każdy przejaw negatywizmu w moim życiu i przepędzać Hitlera (Kubler-Ross). To jest korzeń raka. Brak radości życia.

Pan Bóg jest szalony w swoim przepychu. Niech życie układa się samo. Komu się dobrze żyje, temu ubywa lat.

I znowu Kubler-Ross.” W życiu nie ma przypadków. To, co jawi nam się jako tragedia nie jest w gruncie rzeczy tragedią - o ile sami nie zrobimy z tego tragedii. Zobaczyć w takim zdarzeniu wyzwanie, sygnał do tego, co powinniśmy w naszym życiu osiągnąć. /.../ Wszystko, co ludzie traktują jak karę Bożą, jako coś bardzo negatywnego - nie jest negatywne. Gdybyś tylko zrozumiał, że nic z tego, co cię spotyka, nie jest negatywne. To jest hartowanie stali. /.../
Ponieważ zostało ci tu, na ziemi, niewiele czasu, możesz naprawdę robić to, co naprawdę chcesz robić. Żyć pełnią życia = bez balastu „nie załatwionych spraw życiowych” , które nam ciążą.
Za każdym razem, kiedy negatywnie na kogoś reagujecie, uważajcie: napotykacie własne niezałatwione życiowe sprawy.” Hm, moja reakcja na R. Jeszcze nie dotarłam do powodu.
„Wrodzony mamy tylko lęk przestrzeni i strach przed nagłym i niespodziewanym dźwiękiem. Wszystkie inne lęki są nie nasze, lecz dorosłych, którzy nam je w dzieciństwie „sprzedali”. Negatywizm przeszkadza w kontakcie z kwadrantem duchowym, z wewnętrzną mądrością.” [K-R]

3 maja. Potrzeba wyrzeczenia, Mt 8, 18-22. Wyrzeczenie jest tożsame z brakiem przywiązania. Potrzeba „odwiązania" - uniezależnienia się od radości życia, smakowania jedzenia... To jest ważne, ale nie może stanowić celu samo w sobie. Fantastycznie jest umieć cieszyć się życiem, jedzeniem itd., ale nie może to być dążeniem, a chyba wpadłam w takie sidła.

5 maja. Wstałam dzisiaj rano przeszczęśliwa i przekonana, że u podstaw raka leży mój negatywizm. A niejako potwierdziło to dzisiejsze czytanie - Bóg przycina latorośl, „Beze mnie nic nie uczynicie." Tytaniczna praca przede mną, ale nie jestem sama i jeszcze to przekonanie, że to droga do wyzdrowienia i życia.

To, co mi czasami doskwiera ze strony moich zdrowych przyjaciół, Mamy i ludzi dobrej woli, jest to, że zdarza im się nie pozostawiać przestrzeni na decyzję osobie chorej. Czasami mam wrażenie, że boją się bardziej normalnego /zdrowego sposobu bycia ze strony chorego. Boją się, że chory sobie tym wyrządzi krzywdę i wydłuży drogę do zdrowia, o ile jej w ogóle nie zniweczy. A my chorzy też mamy intuicję i takie „granie normalnego trybu życia" na tyle na ile umożliwia go nam nasza kondycja bardzo przybliża do zdrowia. Chorego na pewno nie należy pozbawiać możliwości podejmowania decyzji co do leczenia i warunków życia. Cóż, nie jest łatwo być chorym, mieć pokorę, zrozumienie i łagodność. Tak samo nie jest łatwo być zdrowym opiekującym się, bo zbiera się jak piorunochron wszystkie gromy związane z rozżaleniem, bólem, rozczarowaniem leczeniem itd.

Prawdziwa miłość, której się wszyscy uczymy, polega między innymi na okiełznaniu własnego lęku i daniu szansy, aby mógł sam nauczyć się swoich lekcji. Nie należy go ani wyręczać, ani ratować, można natomiast pomagać. Pewnie dlatego najczęściej lekcje odrabiamy poprzez chorobę, bo jej nijak wyzbyć się nie można ani odstąpić komuś innemu, o ile Pan nie zdecyduje o końcu próby.

10 maja. Mój „trzeci" pokój - lęk przed śmiercią, a bardziej precyzyjnie, konanie na raka, lęk przed bólem fizycznym (środki przeciwbólowe działają najlepiej w reklamie), przed radio i chemioterapią.

16/17 maja. Dwa sny po morfinie (p/bólowa)- bardzo kolorowe, z lekka „odjechane". Przy pomocy ludzi schodzę z bardzo wysokiej szafy (byłam świeżo po operacji wyłonienia stomii).

Gdy 15 maja, w dniu swoich imienin wybudziłam się po operacji i zobaczyłam nad sobą stojącego lekarza, moim pierwszym pytaniem było czy jest stomia. „Tak." Czy na całe życie? „Tak." Dobrze, że leżałam, bo pewnie bym upadła z wrażenia, gdybym stała. Miałam 5 minut rozpaczy, gonitwy myśli i rozżalenia i niezrozumienia. Powiedziałam Panu Bogu, „Panie Boże, to nie tak miało być. Dlaczego?" „Oścień. Moc w słabości się doskonali. Starczy ci mojej łaski. I żebyś nie zapomniała". Cóż, miał rację. Cięcia by się zabliźniły i byłyby ledwo widoczne, a stomię mam na co dzień i muszę ją pokochać, bo umożliwia mi życie i w dodatku podtrzyma nowe nawyki. Jestem wzruszona opieką i troską lekarzy i pozostałego personelu szpitalnego, tym, że ratowali mi „tyłek" dosłownie! przed grobem. W pocie czoła i napięciu, bo nie wierzę, żeby te operacje wykonywali bez emocji i wielkiego wysiłku psychicznego. Tu się toczy gra o wysoką stawkę i oni są jej jak najbardziej świadomi. Boże, dziękuję Ci, że mi ich dałeś, że wszystko zsynchronizowałeś, że dałeś pokój serca i tyle życzliwości z każdej strony. Pani psycholog moją niezgodę na stomię obaliła jednym celnym zdaniem - „Proszę stomię potraktować jak przyjaciela". Bardzo mi to pomogło. Pomogły mi również wyczerpujące informacje nt diety i tego, że ze stomią praktycznie można wszystko robić i jeść (no, może poza ekstremami, ale nigdy nie podnosiłam ciężarów itp.). Oczywiście, zachowując zdrowy rozsądek i obserwując swój organizm. Na pewno owo „wszystko" nie może obowiązywać zaraz po operacji, dopiero po wielu miesiącach rekonwalescencji i wygojeniu wszystkich ran (do ok. roku). A ja jestem taka niecierpliwa...

Rozmowa z panią psycholog, młodą, radosną i doskonale przygotowaną do tej roli dziewczyną. Pytałam, jak nieagresywnie wizualizować koniec raka (coś jak u Simontona). Próbowałam znaleźć jakieś podpowiedzi w internecie, ale od razu do tego mieszał się New Age i uzdrowiciele, a tego sobie nie życzyłam. Za jej sugestią wyobraziłam sobie raka z cieniutkiego drutu. Podziękowałam mu za lekcję, której mi udzielił na temat życia i powiedziałam, że już mi nie jest potrzebny. Był niezadowolony, ale wylazł i pozabierał wszystkie swoje komórki. Nawet nie musiałam go demontować, gdy opuścił mój organizm, bo rozsypał się w połamane druciki sam ze siebie. „Sprowadzić wyobrażenia do najprostszego elementu" - to rada pani psycholog.

21 maja. Powódź. Jesteśmy jako państwo rozbrajająco do niej nieprzygotowani.

23/24 maja. Sen. Piękna błękitno-seledynowo-żółta soczewa wody. I słowa jakby „A Duch Boży unosił się ponad wodami."

25 maja. Wracam do domu!

To, co napisałam powyżej, trudno określić mianem świadectwa, bo nie spełnia wymogów formalnych - jest przede wszystkim zbyt długie. Może się komuś wydawać ten tekst nazbyt osobisty lub intymny, ale pomyślałam sobie, że może być pomocny w zrozumieniu własnych reakcji w sytuacjach niemalże granicznych, przerastających nas - pomocny ludziom, którzy w podobnej sytuacji mogą się znaleźć. Napisałam go również po to, żeby podziękować mojej wspólnocie Płomień Pański i małej grupie oraz przyjaciołom, rodzinie i wszystkim życzliwym ludziom, którzy niestrudzenie modlili się za mnie i nadal modlą. Nadal potrzebuję Waszej modlitwy, bo rekonwalescencja jest długa i uciążliwa. Jedno jest pewne. Bez Waszej modlitwy, a przede wszystkim bez miłosierdzia Bożego - nie wiem, gdzie bym teraz była... Bóg zapłać.

Zosia